Nr. 51. **Rok 15.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 16. Grudnia 1848.*



Wiktor Emanuel, król Sardyński.

Wiktor Emanuel, Król Sardynii.

Wstąpił na tron w ciężkich i przykrych czasach. Ojciec jego, Karól Albrecht, zrzekł się korony po klęsce poniesionéj pod Nawarrą, a opuściwszy królestwo udał się do Portugalii. Koronę po nim odzierzył Wiktor Emanuel, syn jego najstarszy, któryto ze zwycięskim nieprzyjacielem — Radeckim — o pokój traktować zaczął — czego jednakże do skutku nie przywiódł. Wkrótce po wstąpieniu na tron tak się rozchorował, iż rządy państwa zdać musiano bratu jego młodszemu.

Kościelisko w Tatrach.

Piękny widok z Tatrów na drogę do Kościeliska przesyłam. Miejsce to tak nazwane od kości Tatarów, okrywających pole bitwy. Nasi wpędzili czerń w głąb jaru, i tam ją w pień wycięli. Hucuły pokazują miejsce, gdzie całe stoi wojsko w skały zaklęte i czeka za dniem zmartwychwstania Polski. I teraz mówi wędrowcom śmiały góral: „Jegomość, tam się już jeden z tego wojska rusza.“

W opisie podróży po Tatrach, zawartéj w dzienniku „Dzwonku,“ więcéj ciekawych szczegółów znaleść można o téj Polskiéj Szwajcaryi, i nie mniéj chlubnych ojczystych pamiątek.

† †.

Dla ciekawości umieszczamy nieco dawniejszy opis doliny Kościeliska.

Red.

Droga z Nowegotargu do Kościeliska idzie przez Szafl›ry, Biały Dunajec, Poronin, wieś Zakopane, zawsze po nad wodą Białego Dunajc›; później rzuca się pod same góry, w bardzo wdzięczne świerkowe lasy, i styka się z Czarnym Dunajcem, przy samym jego wypływie z doliny Kościelskiéj. Dr›ga ta, przeszło trzymilowa, ubarwiona jest miłą rozmaitością, szczególniéj od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu, którędy idzie droga, jaśniały świeżą zielonością, jakby śród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drózd uczył się pieśni słowika; jedném słowem, bez najmniejszéj nudy przebyliśmy tę drogę. Razem gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i zakręcił się ku południowi — spojrzeliśmy przed siebie na tę i na owę stronę pasma wysokich gór świerkami okrytych, tylko w jedném miejscu przerwa aż do dna doliny, na kilka sążni szeroka; po jednéj i po drugiéj stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie; z pomiędzy skał Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na dolinę Kościelską. — Minąwszy wspomnioną bramę, ujrzeliśmy się na roskosznéj, płaskiéj dolinie, owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższéj darni, ocieniały do koła góry i lasy, uderzające takim wdziękiem, że się zdawały ulubieńszém nad inne dziełem przyrody; po prawéj ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzie niegdzie z pomiędzy gór lesistych wytykały się nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga prosta, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, którego tło składały dalsze góry; ta mała dolina, to przysionek Kościeliska; gdzie się ona zwęża, tam zaczyna się właściwie Kościelisko. — Hamernia i budowy, należące do niéj, zapełniają początek doliny. Jest tu także, oprócz wygodnéj murowanéj oberży, kilka domków, które zmarły przed niewielu laty gościnny tego miejsca właściciel przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całéj doliny. Długość jéj ma wynosić półtory mili, dno tak wąskie, zwłaszcza u niższéj części, że między wodami, które tu zewsząd płyną, i górami, ledwo się przeciska droga. Góry, otaczające Kościelisko, są jedyne w swoim składzie; całe Tatry nic podobnego nie mają. Najznaczniejsze między niémi po lewéj ręce, idąc z północy na południe, Gewont, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty, mogące się uważać za rodzinę Gewontu, Miętuska, Upłacz i t. d.; po prawéj: Tomanowo, Smytnia i inne. Ormak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolem Kościeliską dolinę od południa i odcina ją od Węgier; z resztą, każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoje nazwisko, ale o tych i dowiedzieć się i wyliczyć je trudno.

Boki gór po większéj części bardzo przykre, w niższéj strefie mają wiele rozmaitości; tu pięknym lasem porosłe, tu z prostopadłych skał nagich obwieszone drzewami, to rosnącémi, to powalonémi, przez coroczne ulewy i wichry,

w rozmaitych położeniach; daléj usłane kozodrzewiem, najwyżéj nagie. Ciekawy jest początek nazwiska téj doliny.

Podczas jakichś wojen w Polsce, wojska nieprzyjacielskie dotarły aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą i tym obrotem wyprowadzili wrogów pomiędzy góry; dopiero tedy przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót, głazami i drzewami spuszczanemi ze szczytów do jednego ich znieśli; od wielkiego mnóstwa nieprzyjacielskich kości, tę dolinę przezwano Kościelisko; chociaż właściwie owa porażka miała być w dolinie, leżącéj pod Gewontem, przy drodze z Kościeliska do Zakopanego, zwanéj dziś Biały Potok, co zdają się potwierdzać rozrzucone po niéj ludzkie kości do niezliczenia. Tę klęskę, według jednych mieli ponieść Szwedzi, według innych Tatarzy.

Przy pięknéj i miłéj pogodzie, z zapasem żywności, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie. Pierwsze zaraz kroki wstrzymują się nie daleko hamerni, przy źródłach Czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na maleńkiéj płaszczyźnie pod Upłazem, rozlane jak okrągłe zwierciadło i tak wygładzone; miły i dziwny widok tego źródła, powierzchnia spokojna i nieruchoma jak szkło, chociaż na dwie strony woda rozlewa się nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków bije drugie źródło większe i sławniejsze, już to przez położenie swoje, już przez podania przywiązane do niego. Późniéj wypadnie mi z jego powodu więcéj mówić, całą więc rzecz o niém nadal odkładam.

W południowéj ścianie Upłazu znajduje się pieczara, zwana „pieczarą zbójców"; aby dostać się do niéj, potrzeba okrążyć tę górę od północy; przebyć jéj grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół! cała droga idzie gęstym lasem i tylko znaki siekiery po drzewach są przewodnikiem; pieczara wykuta ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza, ma okna w skale, wewnątrz kamienne ławki, a w samym końcu źródło; przed laty kilku znaleziono przy tém źródle kości ludzkie, wielkie do podziwienia; według powieści górałów, były to szczątki sławnego przed laty Węgierskiego zbójcy Janoszyka. Przystęp do otworu pieczary bardzo przykry i osłoniony drzewami, ale widok z niéj na całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Daléj doliną idąc nad potokiem Pysznéj, stoi ogromna skała, którą lud zowie Sową, od podobieństwa głazu z tym ptakiem; za nią masz nad lasami wyraźny ze skał zamek, opatrzony wszystkiemi prawie częściami, tworzącemi warowne miejsce. Późniéj dolina zmienia postawę, podnosi się i rozszérza, góry stoją rozłożyściéj, parowy wygodniéj wyżłobione i pokręcone pasma na boki puszczają; w tém już położeniu, na wysokim stopniu Pysznéj, leży Smerczyn Staw. Ładne to miejsce. Jezioro dosyć rozległe, wysoko i samotnie leży; otacza go żyjąca przyroda; ale wycięty w koło niego las i pnie zrębu, ujmują mu wiele powabu; sama téż woda nieczysta, a brzegi bagniste utrudniają do niéj przystęp.

Urozmaicają drogę górnicze banie, czyli miejsca, z kąd rudę żelazną biorą; dzisiaj zarzucone, że się znalazły obfitsze; trafiliśmy także na kopalnię śrebra, którą przed kilkunastu laty, czy trochę dawniéj, woda zalała; piękne bardzo machiny mają się dotąd znajdować w głębi wody. Jakkolwiek zajmujące są piękności drobiazgowe, każdą jednak opuszczę, dla rozkoszy wdrapania się na szczyt olbrzymiéj góry. Tam dopiero panując nad przestrzenią, ogarniając ją jednym rzutem oka, czuję w sobie całą duszę, czuję bujanie jéj po najmilszym dla niéj żywiole wzniosłości. Do wierzchołka więc Ormaku dążyłem, pomijając zarówno i przeszkody i piękności. Wyszedłem na Ormak w tém miejscu, gdzie się schodzą korzenie dwóch jego szczytów, zachodniego i wschodniego, na które dostać się dzisiaj nie miałem nadziei, lubo nie zdawały się być bardzo wysokie; ale ja wiedziałem z doświadczenia, jak ten pozór zawsze w górach omyla, i co kosztuje ta omyłka i trudu i czasu, tém bardziéj, że wspomniony grzbiet góry, albo, jak go tu zowią, siodło, przedstawiał nam tyle do widzenia, żeśmy, bez wielkiego żalu, zaniechali dalszéj drapaniny. Południe już minęło; powietrze było jasne, ciche i skwarne; pragnienie paliło; ale musieliśmy wprzódy zaspokoić pierwsze potrzeby ciała i duszy, położyć się dla spoczynku i rozpatrzyć okolicę. Zajmujący to punkt, gdzieśmy spoczywali; tędy właśnie przechodzi graniczna linia między Galicyą i Węgrami. Kilka kroków rozdzielając dwa kraje, zdają się różne klima poczynać. Wyobraźmy sobie grzbiet góry tak wązki, że między nachyleniem jéj ku północy z jednéj, ku południowi z drugiéj strony, ledwie się mie-

ści kilka kroków płaszczyzny. Na północ idzie roskoszna dolina Kościeliska, na południe dolina do Węgier już należąca, téj saméj prawie długości i tegoż kształtu, ale żadnéj z tych rozmaitości, które pierwszą upiększają; ani owych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin mniejszych; jeden długi, głęboki wąwóz, jednotonnym lasem zarosły. Kościelisko stroi najpiękniejsza wiosna; po Węgierskiéj stronie, ślady dogorywającego lata; po pierwszéj błękitnieją, żółcieją, rumienią się najpełniejsze, najwonniejsze kwiaty; na drugiéj gdzie niegdzie żółty saskier; tam jaśnieje zieloność jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła trawa i mech Islandzki płowieją. Sam widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcéj życia; na Węgry może rozleglejszy, ale tyle lasów, tyle płaszczyzny nieludnéj; przedgórza tak oddalone, że tylko obszerność widoku zastępuje inne powaby. Z tém wszystkiém byłem rad i z tego com widział; ochłodziliśmy się wodą z potoku Węgierskiego, i zeszliśmy z góry. Pod Ormakiem leży piękna polana, z porządną bacówką; owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar; widzieliśmy krzątających się koło bacówki i kilku pasterzy, wstąpiliśmy więc do niéj napić się rzentycy i kupić serów. Rzentyca tu daleko lepsza, niż w przedgórzach za Nowotargską doliną położonych; przyczyna tego w balsamiczniejszéj paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Pod każdym względem trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie, co za zręczność w każdém ruszeniu, jaki otwarty rozum i przytomny dowcip w rozmowach. Ubiór następnie opisany, jest ogólnym strojem tamecznych pasterzy: koszula po pas, usmażona w maśle, jedna na całe lato; spodnie sukienne białe, ocisłe, z czerwonym szwem i wyszyciem na brzuchu, z Węgierska; ciżmy króciutkie, przysznurowane do połowy łytek rzemieniami; széroki pas skórzany za pasem; po lewéj stronie nóż duży; przez plecy ładna ze szpagatu torba, w kolorowe zygzaki, z ogromnemi od wierzchniéj części frenzlami; koszula spięta wielką mosiężną śpinką, czasem w kształcie medala, czasem obrazka, z licznemi spadającemi dosyć długo łańcuszkami, rękawy sfałdowane na ramionach, a fałdy utrzymuje w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciórek; na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, amarantową wstążką obwiązany i ozdobiony świeżą gałązką jakiego drzewa; w ręku siekierka na długiéj lasce, zwana u nich wałaszka, lub ciupaga, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Mosiężne ozdoby, jakoto: śpinki wspomnione i fajki, wyrabiają we wsi, Ząb suchy zwanéj, nie daleko Kościeliska. Między innemi rzeczami, gadali nam Juchasy o zbójcach. Zwykle na Węgrach oni się gnieżdżą; a tutaj tylko czasami przez góry dochodzą. Ci ludzie uzbrojeni są od stóp do głowy. Każdy, prócz siekierki, noża i pistoletów, ma ze trzy rusznice. Juchasom nie robią nic złego, wybiorą tylko kilka baranów, porzną, popieką, najedzą się, resztę zabiorą, i przymówiwszy się jeszcze o séry, odchodzą spokojnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Żywot generała Józefa Chłopickiego aż do objęcia dyktatury w roku 1830.

(Dokończenie.)

Przeszło rok od czasu ostatniéj batalii pod Bellehite, robił Chłopicki ciągłe wyprawy i bitwy przeciw kolumnom Hiszpańskim w Katalonii, Nawarrze, Arragonii, Walencyi i Kastylii. — W chwili kiedy wojska Francuskie zatrudnione były oblężeniem Tortozy, regencya Walencyjska zebrała 7 — 8000 ludzi pod dowództwem Villa-Campa i Caravajal, końcem zrobienia dywersyi od strony Saragozy. Marszałek Suchet, na czele dowodzący wojskiem Francuskiém w Arragonii, powziąwszy o tém wiadomość, rozkazał Chłopickiemu, ażeby z 7. batalionami wyruszył przeciw tymże; dnia 31. Października 1810 doścignął Chłopicki Caravajala w wąwozie Alventosa, zabrał działa, amunicyą, całą kompanią artyleryi lekkiéj konnéj, i officerów nią dowodzących, a odprawiwszy to wszystko do Saragozy, udał się w pogoń za kolumną Villa-Campa. Dnia 12. Listopada 1810 r. Chłopicki przypuszcza szturm, wstrzymywany rzęsistym nieprzyjacielskim ogniem, i po dwugodzinnéj najkrwawszéj bitwie, okrywa górę trupami Hiszpanów, zabiera znaczną część do niewoli, reszta zaś uciekających w nieładzie, załamawszy się na moście Librońskim, w nurtach rzeki znalazła wieczne schro-



Kościelisko w Tatrach.

nienie. — Zwycięstwo to wielce się przyczyniło do wzięcia Tortozy, gdyż gubernator jéj zwiedziony w planach regencyi Walencyjskiéj, po 5. dniach ciągłego szturmu, podczas którego był znów Chłopicki ranny, poddał się dnia 1. Stycznia 1811.

Od dn. 12. Kwietnia do 19. Sierpnia 1811 miał sobie powierzone Chłopicki zakrycie i bronienie prowincyi od napadów Hiszpańskich powstańców, których kilkakrotnie poraziwszy, na całym prawym brzegu Ebru spokojność przywrócił. Dnia 25. Października 1811 dowodził prawém skrzydłem armii Marszałka Souchet w bitwie pod Morviedo, dawniéj Saguntem, i przyczynił się świetnie do pomyślnego wypadku téjże, w skutek którego nazajutrz zwycięzcy stali się panami warowni. — Z równém męstwem odpierał Chłopicki wycieczki Hiszpanów podczas oblężenia Walencyi, i był ciągle czynnym aż do jéj poddania się w d. 9. Stycznia 1812.

W nagrodę tych zasług mianowany został dnia 7. Sierpnia 1808 urzędnikiem legii honorowéj. — D. 9. Lutego 1810 baronem państwa Francuskiego, z trzema dotacyami po 4,000 franków; dn. 16. Września 1810 ozdobiony krzyżem kawalerskim korony żelaznéj, a dnia 29. Listopada t. r. krzyżem kommandorskim orderu wojskowego Polskiego.

Po tylu zwycięztwach we Włoszech i Hiszpanii, których pamięć uświetniła kartę dziejów naszych, od czasu ostatniego rozbioru Polski, zabłysła nakoniec nadzieja bytu ojczystego. Przewaga Francyi nad wszystkiemi mocarstwami w Europie, życzliwość jéj okazywana dla Polaków, dzielących trudy wojenne w jéj sprawie, nadzieje czynione przez cesarza Francuzów, i to niezłomne postanowienie, umrzeć lub być wolnymi, zdawało się rokować najpomyślniejszą dla nas przyszłość.

Rozpoczęta w roku 1812 kampania przeciw Rossyi, powołała naszych rycerzy z nad Renu, Tybru i Nilu; każdy ochoczo śpieszył oglądać rodzinne miejsca, krewnych i przyjaciół, z którymi ich los okrutny tak długo rozdzielał.

Wzniosły się białe orły nad brzegami Wisły, stanęły pod niémi liczne zbrojnych Polaków szyki, a walcząc obok nawykłych do zwycięstw starych pułków, nauczyli się zwyciężać dla odzyskania swobód, niepodległości i dziedzictw ojczystych.

W téj właśnie epoce przybywszy Chłopicki z towarzyszami broni na rodzinną ziemię, dążył zaraz do nowych bojów w sprawie własnéj ojczyzny. — Dnia 7. Września 1812 dowodził 4ma pułkami Nadwiślańskiemi w pamiętnéj bitwie pod Mozajskiem, a ścigając niedobitki Moskiewskie, dnia 10. t. m. pod wsią Rzatem dostał ciężki postrzał w nogę. — Osłabiony na siłach, z żalem przymuszonym się widział opuścić braterskie szeregi, dla zagojenia rany i wzmocnienia nadwątlonego tylu trudami zdrowia. — Udał się więc najprzód do Wrocławia, a potém do Paryża, celem przedsięwzięcia kuracyi. — Odzyskawszy znowu siły, chciał znowu powrócić w szeregi obrońców bytu narodowego; lecz gdy go Napoleon przeznaczył do kommenderowania wojskiem Holenderskiém, Chłopicki przekładając nad wszystko miłość własnéj ojczyzny, dla któréj tylko obok rodaków gotów był życie poświęcić, wolał prosić o zupełne uwolnienie siebie od służby, niż być narzędziem wykonywania woli nie odpowiedniéj jego uczuciom.

Te zasługi i stałość charakteru Chłopickiego, nie uszły baczności cesarza Alexandra. Po abdykacyi Napoleona 1814, zapewniwszy Alexander przywrócenie Polakom ojczyzny, starał się usilnie skłonić Chłopickiego do objęcia służby w wojsku Polskiém. — Jakoż zawierzając tym obietnicom Chłopicki, przyjął ofiarowany mu stopień generała dywizyi. — Następnie pod d. 20. Stycznia 1815 przeznaczony został na dowódzcę dywizyi 1. piechoty wojska Polskiego, dnia 3. Grudnia t. r. ozdobiony orderem Ś. Stanisława I. klassy, a dnia 16. Października 1816 Ś. Anny I. klassy. Wszystkie te oznaki łaskawości Alexandra, nie zdołały zmienić uczuć prawego Polaka w Chłopickim. — Wychowany w obozach wśród niebezpieczeństw, na które życie swe narażał, dla wywalczenia wolności sobie i ziomkom swoim; nie umiejący uchylać czoła przed dumą despotyzmu, nadewszystko zaś kochający honor, a gardzący podłémi podchlebstwy niewolniczych służalców, spostrzegł wkrótce Chłopicki, że jego otwarty sposób myślenia i niczém nie zachwiane przywiązanie do dawnych swobód ojczyzny, ściągały prześladowania naczelnego wodza. — Te to były istotne przyczyny, dla których Chłopicki, na własne żądanie, otrzymał pod d. 28. Października 1818 uwolnienie od służby, z pozwoleniem no-

szenia munduru. — Lat 12. przepędziwszy w domowém zaciszu, wśród przyjaciół i towarzyszów dawnych zwycięstw i chwały, doczekał się epoki, która dla niego przygotowała najpiękniejszą kartę w dziejach oswobodzenia Polski.

Po wybuchnieniu w d. 29. Listopada r. 1830 rewolucyi w Warszawie, nie trzeba było zgadywać, kto szlachetne zamiary nasze przyprowadzi do skutku. — Wszyscy jednozgodnie wykrzyknęli: Niech żyje ojczyzna! niech żyje nasz waleczny dyktator Chłopicki!

Kurpik Łojko, młody rycerz Polski.

(Ciąg dalszy.)

Wtém wchodzi gospodarz domu, okrutnik i nielitościwa dusza chłopska; wpada na nas wszystkich: „Umykajcie mi zaraz z mego domu! Moskale we wsi; mogą mnie spalić, albo zabić za to, że was przechowuję.“ Biedny ojciec klęka przed podłą duszą, i żebrze po kolanach litości, dodając: że Moskale o tych dzieciach nie wiedzą, a natrafiwszy je leżące, będą wnosić, że twoje; ja zaś, jak starzec okryty twoją siermięgą, będę za domowego uważany.

„Nie, nie,“ odpowie chłop twardego serca, „ani momentu was trzymać nie mogę; uchodźcie co żywo! podziéjcie się gdzie chcecie, i to zaraz, bo was wszystkich powyrzucam!“ Starzec i ojciec drżącą ręką obłóczy dzieci, i z biciem serca wyprowadza je z domu nielitościwego człeka. Podobnie i ze mną się zrobiło, bo wspólnie nam wszystkim uchodzić rozkazał.

Łojko wychodząc rzecze: „Nie rozpaczaj ojcze, Bóg nas nie opuści, a jego może dziś jeszcze jakie nieszczęście dotknie.“

Zaledwo co wyszliśmy z domu, słyszymy gwar wielki, krzyk i lament ludu, i to zaraz po za wsią szedł rzęsisty ogień z ręcznéj broni; nie wiemy gdzie i do kogo w tym razie udać się mamy. „Pójdźmy“ rzecze śmiały Łojko, „do tego tam wielkiego domu (do dworu), może tam kto litościwy mieszka, może nas przyjmie aby na tę noc nieszczęśliwych.“... Jak wymówił, takeśmy zrobili, i tak się stało.

Po krótkiéj rozmowie z Panią domu, przyjęci zostaliśmy wszyscy; wkrótce też ogień ustał, strzelcy odparli Moskali i poszli za nimi. W domu tym dosyć mieliśmy wygody. Pani ludzka i miłosierna, mąż jéj równie jak inni Litwini zaciągnął się w szeregi, i walczył Bóg wie w których stronach za ojczyznę.

Co zaś do Łojka: tęsknił chłopczyna, że dwa tygodnie upływały, a żadnego nie było widać Polaka. „Mój ojcze!“ rzecze, „tak długo Polaków nie słychać, a przyobiecał ten jeden o nas nie zapomnieć, a dziś właśnie już mi się ręce nie źle podgoiły, mógłbym nie zadługo być im pomocnym.“ — „Mój synu,“ odpowie ojciec, „może już tych samych nie zobaczymy. Może nieprzyjaciel ich pobił, lub zabrał do niewoli.“ — O! jak ja słyszałem o Moskiewskiéj niewoli, wolałbym, aby mnie lepiéj na sztuki zrąbali, niżeli do głębokiéj prowadzili Moskwy.

Kilkanaście jeszcze dni ubiegło, a Polaków doczekać się nie mógł. „Mój ojcze, jesteśmy już prawie wygojeni; czyż tu próżno siedzieć mamy, zabierzmy się i pójdźmy szukać naszych.“ Przekładałem mu, ażeby jeszcze dni kilka zaczekać, a może Polaków się doczekamy; lecz Łojko ani ojciec jego mojéj rady nie przyjęli, zabrali się więc, i ja z nimi, broń dobrze opatrzyli, i udaliśmy się wszyscy ku téj stronie, gdzie nas Moskale zabrali. Dzień i drugi różnymi manowcami dosyć szczęśliwie odbyliśmy. Na trzeci zaś spostrzegliśmy o podal, może na ćwierć mili drogi, Ruską kawaleryą i piechotę, która się z lasu ku wzgórzom rozłożyła. W krótce nastąpiło wolne strzelanie, a potém coraz silniéj wzmagać się zaczęło. „Ha,“ rzecze Łojko, „tam muszą być nasi! Rznijmy się prosto tu po téj stronie gór, a przyjdziemy do swoich.“ — „Dobrze mój synu,“ rzecze ojciec, „ale gdy nas kozaki spostrzegą, nie ujdziemy ich tyrańskiéj ręki.“ — „Co?“ wskazując na broń, „albożto nie mamy czém się bronić? A w reszcie, kto nie ma odwagi, ten niech się nie nazywa Kurpikiem. Raz żyć, albo raz zginąć, to jest nasze słowo, wszakżeśmy wszyscy tak sobie przyrzekli.“

Ojciec nie mogąc się oprzeć chęci syna, którego we wszystkiém słuchał i zdał się mu powodować, przeżegnał i siebie i dzieci, i....... „dalej dzieci! w Imie Boga! tylko miéjcie się na ostrożności i nie traćcie odwagi!“ Łojko podskoczył sobie, i szedł wesoło ku wzgórkom. A ja zawsze za nimi jakoby w rezerwie.

Dostrzegli nas kozaki, puściło ich się 10

za nami, ojciec krzyknął: „Dzieci szykujcie broń! kozaki ku nam pędzą;" nie stanęli jednak, ani uciekać chcieli, ale w dobréj minie podwajają krok, a coraz to na kozaków, to na broń patrzają. A ja nieszczęśliwy kaleka pospieszałem bezbronny za nimi.

Przypuszczają kozaków jak najbliżéj, formują dwa plutony, dwóch naprzód, a dwóch za nimi, i stanęli. Każdy na cel swego bierze, a ja usiadłem za nimi w przyczajeniu, i oczekiwałem spokojnie wybicia ostatniéj godziny życia mego. Kozaki i w tę i w ową rozsypują się stronę i zupełnie nas okrążają; wrzeszczeli nieustannie: Kryczy pardon! kryczy pardon! Ojciec z Łojkiem mierząc zawoła: „Daléj dzieci palcie a trafiajcie! a my z Łojkiem wystrzelimy po was." Dzieciny pękły, i zrucili każde swego kozaka z koni, i tuż nabijają. Po nich ojciec z Łojkiem ściągnęli kurki, i ubili równie każdy swego, i co żywo nabijają, a pierwsi dwaj znów palą i nie chybiają. A tak dwoma plutonami, każdy z dwóch ludzi się składający, ognia dając, reterowali się i bronili.

Nadeszło więcéj kozaków, Kurpiki i tych sprzątnęli, i tak długo się bronili, dopókąd Polacy nie spostrzegli ich z zagórki i nie przybyli na pomoc. W ten czas rozpoczęła się zacięta walka, poległ na niéj nieszczęśliwy ojciec z dwoma synami, Łojko sam się tylko został i do ostatka walczył. — Garstka Polaków widząc, iż coraz większa nadchodzi siła, cofnęła się za wzgórza do swoich; Łojko opuszczony jeszcze się jakąś chwilę bronił, i nie jednego uśpił kozaka; nareszcie, gdy już na siłach słabieć począł, a widział przed sobą tylko już 4ch kozaków, bo inni puścili się za Polakami, usiłujących koniecznie go sprzątnąć, dopadł dębu na polu stojącego, i tam przyparłszy się do niego, stanął jak mur, i na żaden sposób dostąpić do siebie nie dał. Dla spieszniejszego nabijania, wysypał ładunki na ziemię, i z nabitą bronią stał nie wzruszony.

Śmielszy z tych 4ch kozaków jeden natarł wprost na Łojka, i co tylko nie utopił w nim piki, chłopczyna ściąga i zwala go z konia, i żwawo znów nabija. Trzech jeszcze zostało na życie jego dybiących, ale bojąc się dostąpić, porzucają go i spieszą za swymi.

Zmęczony chłopczyna siada pod drzewem, i smutnie zwraca w tę stronę oczy, gdzie ojciec jego i nieszczęśliwi bracia za obronę ojczyzny polegli. Westchnął głęboko, podłożył broń pod głowę, i w tym zasnął smutku. Chciałem go iść pocieszyć, ale bałem się, gdyż jeszcze po kątach gór i lasów uwijali się kozacy, leżałem więc ciągle w bróździe, udawając zabitego.

Ojciec zaś Łojka, który nie daleko mnie leżał, a któremu kula pół twarzy rozdarła, i w piersiach mocną ranę pika kozacka zostawiła, po niejakim czasie podnosi się w boleściach, i poziera smutnie na pobojowisko trupami tu i ówdzie okryte. Widzi po za sobą rozciągnione dziecię i roztrzaskaną od kuli głowę. Daléj o kilka kroków drugiego syna, twarzą do ziemi we krwi leżącego.

Nie mógł nic mówić, nie mógł głosem nad ich nieszczęśliwym płakać zgonem, ale leje łez potoki i wyje. Cichość największa w ów czas panowała, Moskale popędzili się daleko za Polakami. Słychać tylko na pobojowisku gdzieś niegdzieś nieszczęśliwych boleśne jęki i przenikliwe konania. Ile może włóczy się po bojowisku, i szuka trzeciego, walecznego syna Łojko. Aż nareszcie dostrzegł go leżącego pod drzewem. — Wyciąga o podal ku niemu ręce, a zbliżywszy się klęka i w swoje przyjąć go chce objęcia. — Łojko nagle zbudzony zrywa się, chwyta za broń swoję, a rozumiejąc, iż go kozak dusi, strzela w nieszczęśliwego ojca....... zabija. Krzyczałem ja, ile miałem siły: „Stój, stój Łojko! to twój ojciec!" zerwałem się z ziemi, i spieszyłem do przytomności przywrócić chłopca, ale już nie było rychło, konał już starzec, gdyśmy go obydwaj, aby powstać mógł, dźwigali; ale trudne były zabiegi, bo kula śmiertelną już ranę zadała.

Młody Łojko uznawszy ojca, wlepił w niego osłupiałe oczy, i bliską chwilę patrzał się w milczeniu: „O ojcze!" zakrzyknie potém, „zginąłeś od syna twojego ręki, a ja żyję! O! czemuż nie mnie taż sama nie trafiła kula." — Rzucił garść ziemi na niego: „Otóż masz nagrodę za twoje wszystkie trudy i czyny." Potém upadł na ziemię i ryczał. Reflektowałem go ile mógłem, że ojciec dla odniesionych ran byłby i tak musiał w srogiéj umierać boleści. — Przyszedł tylko do ciebie, abyś mu prędszą i lżejszą śmierć przyspieszył.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)